

SAMPLE
TRANSLATION

NEJC GAZVODA
LAS

PUBLISHED BY: BELETRINA, 2014

TRANSLATED BY: JOANNA CIEŚLAR

ORIGINAL TITLE: GOZD (SHORT STORY FROM RAZKRITI
OBRAZI SVOBODE)

NUMBER OF PAGES: 12

Nejc Gazvoda: Las

grudzień 2013

Spotkałem Jana tej nocy, kiedy próbował zamordować swojego ojca.

Była późna godzina, druga lub trzecia nad ranem, nie pamiętam, miałem wtedy wiele spraw na głowie. Rękę na kolanie Mojcy, która nie była moją ręką, ale za to była moją sprawą. Dlatego też potrzebowałem spaceru. Nie był to pierwszy spacer, na który wybrałem się w tamtym czasie. Za każdym razem wychodziłem z domu bardzo późno, szukałem takiej pory, kiedy nigdzie nie było żywej duszy. I rzeczywiście nie spotykałem nikogo, a światła w domach, wzdłuż których szedłem, były zgaszone. Padał śnieg, tak drobny, że widziałeś go tylko w blasku ulicznych latarni, jak muszki latem, przed burzą. Mój (nasz?) dom był na samym szczycie wzgórza, za nim tylko las. Dom Jana stał gdzieś pośrodku mojej trasy, jedyny oddalony od drogi, jakby było mu wstyd i wolał, żeby to sąsiedzi z ładnymi elewacjami przyciągali spojrzenia zamiast niego. Zwykły słoweński dom z balkonem, ogrodem i płotem. Dużo myślałem o Janie i o wszystkim, co się wydarzyło, ale jego domu nigdy nie mogę dobrze przywołać w pamięci, mimo że mieszkam obok i widzę go codziennie. Teraz już wiem, dlaczego tak jest.

Jana zauważyłem, kiedy był już blisko mnie, na ulicy, akurat przed jego domem. Może nie byłem dość skupiony, a może to on po prostu chciał być w tym momencie niewidoczny. Prawie niewidoczny. Z rękami w kieszeniach przemknął obok mnie, witając się. Nie zatrzymał się, mimo że byliśmy znajomymi do tego stopnia, że według jakichś zasad, wyspanych z mlekiem matki, powinien. W tym momencie bardzo mi to odpowiadało. Wracał do swojego domu. Jedyne, co wydało mi się wtedy dziwne to to, że nie wszedł do niego od razu. Minąłem go i wciąż słyszałem jego kroki, delikatne skrzypienie śniegu, które stawało się coraz cichsze, dopóki w pewnym momencie nie ustało. Ale drzwi nie otworzyły się. Zatrzymałem się i spojrzałem za siebie. Jan stał przed domem i patrzył w stronę drewnianego garażu, którego drzwi były przymknięte. Stał tam dłuższą chwilę. Potem nagle otworzył drzwi i zniknął. Może widział, że na niego patrzę. A może nie. Nie poświęciłem temu zbyt wiele uwagi i szedłem dalej. Tamta ręka na kolanie bardzo mnie wtedy jeszcze bolała. I wciąż mnie boli. Ale teraz jest inaczej. Wiele rzeczy się zmieniło.

Na końcu ulicy zawróciłem jak zawsze, żeby zacząć trudną drogę z powrotem na wzgórze. Wtedy go usłyszałem. Jego dźwięk był jedyny w swoim rodzaju, wszyscy na ulicy go znali. Dodge lancer, rocznik 1962. Jan kupił go, kiedy wrócił z Berlina. Auto stało w garażu, w tym garażu, na który gapił się Jan zanim pochłonał go dom, a trochę później przybyła policja i zabrała Jana. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że nikt nie mógł prowadzić tego pojazdu, tylko Jan. Nikt inny. A zwłaszcza nie jego ojciec.

Ale tamtego wieczoru prowadził go ktoś inny. Ulica wiodła wzdłuż pojedynczych domów do drogi głównej, i dodge lancer, rocznik 1962 (Jan używał zawsze „pełnej nazwy”) powolutku tłuł się w jej kierunku. W mglistej, śnieżnej nocy czerwone światła stopu patrzyły na mnie jak oczy zjawy z lasu, tej zjawy, która tyle razy mi się śniła, odkąd zobaczyłem rękę na kolanie. Auto, dodge lancer, rocznik 1962, podskakiwało i chrypiało, cierpiało na złym biegu, i wlokło się po drodze jak zranione, wściekłe zwierzę. W ten sposób się takiego auta nie prowadzi. W ten sposób nie prowadzi się żadnego auta. Pomału się zatrzymało i stało przez pewien czas, potem ruszyło, rżąc, i zdechło. Trochę czasu trwało zanim znów zapaliło, a potem historia się powtórzyła. I najprawdopodobniej wybrałbym się zobaczyć, co dzieje się z kierowcą, gdybym w jakiś sposób się nie ucieszył. Myślałem, że auto prowadzi ojciec Jana. Że jest to jakiś nowy początek, droga do pojednania, która zaczęła się jak jakiś spiszek w nocy, przyzywający leśne wilki. Dlatego stałem tam i patrzyłem na podskakujące auto, które ryczało potężnie o niehumanitarnej porze. I okna otworzyły swe oczy, rolety zaparskały, w pokojach zapaliły się światła, a ulica pokryła się pomarańczowymi piegami. Ludzie wyszli z domów. A ja wycofałem się. Jak zawsze.

Następnego dnia dowiedziałem się, co się wydarzyło. Nasza mała społeczność przeżyła wstrząs, ale tylko w miejscach, które takie wstrząsy dobrze znoszą – w kasie sklepu, przed kościołem, w barze, w domu. Na ulicy wciąż mówiliśmy sobie „dzień dobry”. Przechodziliśmy spokojnie także obok domu Jana, ponieważ był stosownie schowany, jakby już przy narodzinach wiedział, że będzie kiedyś przyciągał nieżyczliwe spojrzenia.

Ale u nas nikt zbyt nie wypytuje, tylko mówi się. Jak wszędzie, gdzie mieszkają ludzie. A ja tamtego wieczoru widziałem Jana. I widziałem te krwawe światła dodge’a lancera, rocznik 1962. Jakaś cienka nić biegła między tamtym spojrzeniem na garaż i autem bez kierowcy, spleciona z ludzkiej materii, której nigdy nie odkryją, gdyż nie istnieje.

Ale wszyscy o niej wiemy. Wszyscy ją mamy. To jest to, co zostanie na skórze jeszcze na długo po tym, jak ktoś już odwróci od niej wzrok.

Rękę na kolanie zobaczyłem niedawno, ale przeczuwam, że nie znalazła się tam po raz pierwszy. Pewnego ranka przed jakimś miesiącem Mojca nie zaparzyła kawy. Nie posłała mi smsa, kiedy byłem w pracy. A wieczorem nie zamknęła okna, tylko przed nim stała. Kiedy jesteś z kimś dziesięć lat, wiesz, co to oznacza. I jako prawdziwy samiec beta, jako jaśniejący przykład słoweńskiego mężczyzny, w którym zbyt mało Bałkańczyka, żeby ją pobił i zbyt mało Austriaka, żeby zamknął ją w piwnicy, pozostałem przy złotym środku – sam katowałem się aktywnością fizyczną i spałem na parterze na kanapie. Powoli rozdrabniałem i rozplanowywałem geny, które mógłbym przekazać dalej i zostać prawdziwym słoweńskim mężem, pokochanym przez żonę dopiero wtedy, kiedy na jego pogrzebie stwierdzi, że mogło być o wiele gorzej. Kłamię – tamtego wieczoru chciałem coś powiedzieć, już miałem się wkurwić, ale potem wolałem rozmyślać o aucie, aż w końcu zasnąłem, dopiero wtedy, kiedy czubki drzew przystroić słońca korona. W następnych tygodniach zawsze rozmyślałem o tym samym – kiedy do Mojcy w środku nocy przyszedł sms, kiedy wracała późno do domu, kiedy nie odwzajemniała pocałunków. Dodge lancer, rocznik 1962. Kiedy płakała w łazience. Dodge lancer, rocznik 1962. Kiedy pewnej nocy po prostu nie było jej w domu. Dodge jebany lancer, jebany rocznik 1962.

I kiedy wspomnienie krwawych oczu już powoli we mnie wygasło, kiedy (naprawdę) już prawie chciałem (naprawdę?) zapytać Mojcę, o co chodzi – spotkałem Pikięgo. Znów byłem na spacerze, tym razem wcześniejszym, chociaż ogólnie zbyt późnym, żeby chłopczyk, który dopiero zaczął szkołę podstawową, bawił się na zewnątrz, na mrozie. Chociaż... Piki nie do końca się bawił. Klęczał na ziemi obok przejechanego kota z kwiatkiem w ręku. Mama ma takie kwiatki w domu, powiedział. Teraz szukam kieszeni. Żeby włożyć do niej kwiatek. Zaproponowałem, żeby położył kwiatek na futerku, że koty mają kieszeń wszędzie, ponieważ jej nie potrzebują. To nie logika, którą kupiłby dorosły człowiek, ale dziecko już tak. Zgodził się, zostawił kwiatek na zwłokach i wrócił do domu.

Następnego dnia przy kasie marketu spotkałem jego mamę Petrę. Przyniosła ze sobą chmurę ciszy, którą otuliła krzątających się po sklepie klientów. Nad głową rysowały się dymki z komiksu. „Może stracić męża.” „Może była w to zamieszana.” „Kłócili się ze sobą.” „To był prymitywny typ. Zasłużył sobie. Ale ona sobie na to nie zasłużyła.” Petra nic nie powiedziała, zużyła tylko wiele energii, żeby na nikogo nie spojrzeć.

Przed sklepem rozerwała jej się siatka i pomogłem jej zebrać rozsypane pomarańcze. Stałem przed nią nieporadnie z naręczem cytrusów i myślałem, co teraz powiedzieć.

– Napijesz się kawy? – zapytała. I zaczęła płakać.

Siedziałem za stołem w kuchni we wnętrzu wstydliviego domu, rzut kamieniem od garażu, gdzie znaleźli nieruchome ciało ojca Jana i odwieźli je potem do szpitala. Piki bawił się w salonie. Może szukał kieszeni tego świata, które potrzebują kwiatów.

Petra każdego papierosa wypalała tylko do połowy. Zaparzyła mocną, gorzką kawę po turecku.

– Czemu wrócił? – powiedziała i patrzyła na dym, który leciał w klosz lampy nad stołem. Wrócił, ponieważ zabrakło mu pieniędzy. Jan wytrwał w Berlinie pięć lat. Od czasu do czasu pisaliśmy do siebie jak przyjaciele z dzieciństwa, prawie sąsiedzi. Ale to nie była odpowiedź, której szukała. To było dla niej jasne. Jan pojawił się nagle na progu domu rodzinnego, z którego przed laty uciekł, kiedy uciekła i jego mama. Zostawił studia, zostawił wszystko. Tu nie ma nic dla mnie, mówił mi. W sposób zuchwały, buńczuczny, swobodny, który pasował do jego osobowości. To nie pomagało mu w kontakcie z opinią publiczną i policją. Nikt nie wątpił w to, że wziął w rękę ten klucz francuski i rozbił głowę ojcu. Może to naiwne, ale ludzie, którzy gonią swoje marzenia tak bardzo zachłannie, że aż na końcu duszą je w objęciu i zostaje im tylko ich duch, nie zostawiają za sobą trupów. To właśnie oni sami cierpią najbardziej.

Czemu wrócił?

Na początku szkoły średniej Jan zaczął zapuszczać włosy. Jego ojca bardzo to denerwowało, więc sam też zaczął zapuszczać włosy. W ten sposób przez pewien czas darli się na siebie przez pasma gęstych włosów, które na wielkiej łepetynie niskiego ojca Jana wyglądały naprawdę dziwnie. Dopóki Jan pewnego dnia nie wrócił ze szkoły ogolony na zero. Potem ogolił się jego ojciec, a Jan zaczął zapuszczać włosy. Bardzo dbał o to, żeby nigdy nie mieć takiej samej fryzury jak ojciec.

Do teraz, kiedy wrócił z Berlina bezpowrotnie łysy niczym jego ojciec. Teraz to dwa błyszczące łby dały się na podwórku. W dużym pokoju. I w kuchni. Jan czasami spał w garażu, w dodge'u lancerze, rocznik 1962. Ale jego ojciec zawsze zostawiał otwarte drzwi, żeby ten mógł przyjść się w nocy zagrzać. Jan z kolei pilnował się, żeby pójść spać z powrotem do garażu, kiedy ojciec wstawał. I nigdy nie jadł, kiedy jego ojciec był w domu. Jedzenie samo znikало nocą z lodówki. I następnego dnia lodówka znów cudownie napełniała się ulubionym jedzeniem Jana.

Czemu wrócił? Ponieważ zamoczył nogi w lodowatej, lodowatej obczyźnie i za późno stwierdził, że odpadły mu palce. Jak wielu z mojej generacji. Nigdzie nie czuł się jak w domu. Wiedział, gdzie jest jego dom. I ojciec mu to mimo wszystko proponował. Jan mi o tym nie mówił. Byliśmy sąsiadami i kolegami przez całe życie, ale kiedy był nieobecny, bezpowrotnie się od siebie oddaliliśmy. Ale widziałem te rzeczy. Rękę na kolanie, wszędzie. Ja to widzę. Wystarczy, że idę na spacer wzdłuż ulicy. I rozumiem. Wystarczy, że stoi przy oknie i patrzy przez nie. To jest talent, przez który i z którym ciężko żyć. Ale otworzy ci drzwi domów, czasami.

– Ty umiesz słuchać – powiedziała mi Petra. Papierosy w popielniczce piętrzyły się jak trupy po bitwie. Piki nie ruszył się z pokoju. W ogóle nie wiem, jak mu w zasadzie na imię. Wszyscy tak go wołają.

– Ty umiesz słuchać – powtórzyła jeszcze raz Petra. Ale nic nie powiedziała. Wkrótce pożegnałem się i poszedłem do domu.

Za dwa tygodnie ojciec Jana wybudził się ze śpiączki.

Kiedy Jan wrócił do domu, nie było już krzyków. Nie było potrzeby. Jego ojciec z powodu uszkodzenia mózgu przemienił się w nieszkodliwe, ciche, grzeczne dziecko, drepczące w szlafroku po śniegu, którego z dnia na dzień przybywało, a kałuże zyskały lodową skorupkę. Ojciec Jana się tym nie przejmował. Nasza mała społeczność uspokoiła się, mimo że do domu wrócił inny człowiek niż ten, którego z niego zabrano. Nie było już dziennikarzy. Relacji telewizyjnych też nie. Kiedy śnieg stopnieje, odkryje może jakąś żółtą taśmę, rozciągniętą wokół domu przez policjantów. Co się tyczy nas, wszystko było w porządku.

Pewnej niedzieli ojciec Jana przyszedł na piechotę aż do naszego domu. Powąłęsał się po podwórku, w szlafroku i podkoszulku, i patrzył w niebo. Przywitałem go, a on przyjaźnie odpowiedział, ale przyczyny wizyty nie zdradził. Widać było, że jest szczęśliwy i spokojny. Pomogłem mu wsiąść do auta i odwoziłem do domu. Oprócz blizny na głowie wyglądał dobrze. Uśmiechał się i oczami badał moje auto. Delikatnie zginał i ścisnął palce, jakby coś miesił. W czasie drogi nie mówił, zanim wysiadł, bardzo ładnie mi podziękował i powiedział, żebym pozdrowił rodziców. Moi rodzice nie mieszkają tu już od pięciu lat. Żyli oddzielnie, jak tylko się dało, na każdy możliwy sposób. Dom został dla mnie i Mojcy. Zanim rodzice się rozeszli, ojciec lubił stać przed oknem i patrzeć na las. Kiedy mieszkalem tu jako dziecko, nigdy się lasu nie bałem. Ale teraz tak. To, co odwiedza nas w nocy, to rzeczy, które w dzień skryjesz pod łóżkiem.

– Dziękuję, że go przyprowadziłeś – powiedziała Petra. Zapaliliśmy razem przed domem. Jan w międzyczasie poprawiał płot, który połamał się pod śniegiem. Ubrany był w czarną kurtkę i z gołej głowy unosił się dym. Z tyłu można go było z łatwością pomylić z jego ojcem, gdyby ktoś nie wiedział, że ten (oczywiście już nieodwracalnie) zmienił swój codzienny ubiór. Z domu wyszedł Piki i przyniósł narzędzia. Jan się uśmiechnął. Naprawiali płot razem. Spojrzałem na Petrę. Był w niej spokój.

– Jest lepiej – powiedziała Petra i słowa stoczyły się jej z języka jak kamień, który z hukiem spadł między nas. Ostrożnie spojrzała na mnie, czy nie zrozumiałem jej źle, a ja się tylko uśmiechnąłem.

Mimo że ją rozumiałem. Dobrze i źle.

Tamtego wieczoru na spacerze znów spotkałem zjawę dodge'a lancera, rocznik 1962. Przez śnieżną kurtynę widziałem jedynie czerwoną plamę, jak kropelkę na soczewce aparatu fotograficznego. Może to było jakieś inne auto. Ale nie było. Nie było.

Następnego dnia Mojca zapytała, czy pójdziemy do kościoła. I poszliśmy, mimo że nie byłem na mszy już z dziesięć lat. Pierwsze rzędy wciąż okupowały staruszki o wysokich głosach, a ostatnie przyszli bierzmowani, którzy szczykali się w policzki i śmierdzili młodością. Nagłośnienie było trochę lepsze. Jezus wciąż dyndał na krzyżu. Nie zmieniło się wiele, ale podobało mi się bardziej niż kiedyś. Najprawdopodobniej właśnie dlatego.

Tak, Jan nie wylądował w więzieniu. Dostał wyrok w zawiasach. Może ojciec był agresywny, może była to samoobrona, takie rzeczy. Wykręcił się. Nie spieszyło mu się już nigdzie. Jego krok się zmienił. Zdarzało mu się jeszcze, że do toalety szedł tak, jakby wybierał się w najważniejszą podróż swojego życia. Teraz chodził tak, jak wszyscy, którzy wiedzą, że celu nie osiągniemy krokami, ale przyjdzie on w postaci nocy, jednakiej dla wszystkich. Żaden krok jej nie wyprzedzi.

Jan zaczął pracować w firmie ojca, robiąc, to czego ojciec już robić nie mógł. I to, czego Jan nigdy nie chciał robić. A i tak go to czekało, jak mawiał jego ojciec. Jan mi o tym opowiadał, kiedy razem wracaliśmy ze szkoły.

Nigdy nie będę robił tego, co mój ojciec.

Nigdy nie będę taki, jak mój ojciec.

I udawało mu się to, ale kosztem byle jakiego życia. Wszystko do teraz.

Trzeci raz dodge'a lancera, rocznik 1962, spotkałem, kiedy zbliżał się koniec zimy. Spacerów już nie potrzebowałem, ale przywykłem do nich. Każdą wypukłość w asfalcie znałem już na pamięć i zawsze zawracałem w tym samym miejscu, i szedłem z powrotem. Życie powoli nabierało rytmu, którego nie mogłem ani zwolnić, ani przyspieszyć. Osiągnąłem pewien etap w życiu, nie wiedząc kiedy i jak. Bez rytuałów, bez autorefleksji. Właśnie tak mógłbym żyć do śmierci. Nie chciałem tego. Nie miałem też nic przeciwko. Przynajmniej jakoś egzystowałem.

Kiedy trzeci raz spotkałem dodge'a lancera, rocznik 1962, zdecydowałem, że sprawdzę, ile jest w nim atmosfery rodem ze Stephena Kinga. Widziałem go w oddali, pod koniec spaceru, jak zbliżał się do drogi głównej. Ostrożnie zszedłem po świeżo zaśnieżonej drodze, jakbym łowił zranione zwierzę, które charczy i wierzga, kiedy się do niego zbliżam.

Otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Za kierownicą na stosie książek siedział Piki. Kiedy chciał dosięgnąć pedału gazu, nie widział nic przez szybę. W ten sposób trochę jechał, trochę wyglądał przez szybę, i znów trochę jechał.

Długą chwilę patrzyliśmy na siebie, potem zamknąłem drzwi i zostawiłem go tam. Poszedłem do domu.

Pory roku zmieniały się, a Mojca pozostawała taka sama. Tylko na mnie zaczęła być nagle wściekła, jak wszystkie kobiety, które wystarczająco długo ignorujesz. Albo będą wściekłe, albo zakochane. Jedną z tych możliwości już kiedyś wykorzystła, tak więc została jej tylko wściekłość.

– Dlaczego mnie nie zapytasz? – powiedziała mi, kiedy wróciła do domu. Stała przede mną, a ja leżałem na kanapie i oglądałem telewizję. Zrobiłem dokładnie to, czego nie chciała.

– Będziesz milczał? – zapytała.

Wciąż robiłem to, czego nie chciała. Rozbiła dwa talerze. Potem płakała w kuchni. Tej nocy nie spałem, ale udawałem, że śpię, kiedy przyszła do kuchni po wodę.

Przyszła po wodę dwanaście razy.

Jan zaczął chodzić po pracy do knajpy. Patrzył w piwo, które sobie zamówił, jakby się go bał. Nie potrafił pić piwa, ponieważ nigdy tego nie robił. Pił na zabawach, popijał piwo towarzysko i czasem coś zapalił. Ale nigdy nie pił jak bohaterowie literaccy.

A teraz tak.

Zawsze siedział sam, mimo że bywalcy lokalu przeważnie zbierali się za tym stołem, który umożliwiał bezproblemowy dostęp do rzutek i baru równocześnie. Danica, kelnerka, która z biegiem lat zyskała figurę serwowanej przez nią każdego dnia butelki, oparła się o bufet i patrzyła na niego. Nie tylko ona. Wszyscy patrzyli na Jana. A on patrzył na piwo. Potem ostrożnie wziął je do ręki i zrobił łyk. Zamienił tym samym piwo w narzędzie – wieczorem przegna złe rzeczy, a rano czule przywoła je z powrotem. Zaczął pić piwo jak dorosły. Od razu przestał być dla odwiedzających lokal taki straszny. Rozmowa znów się ożywiła i Jan stał się jednym z nich. A ja się dosiadłem.

– Przeszkadzam ci? – spytałem. Zaprzeczył. Ja też sobie zamówiłem piwo i siorbaliśmy je w ciszy, dopóki jego poziom nie osiągnął pomostu, na którym czekają słowa.

– U ciebie, wszystko ok? – zapytał mnie, jakby mi już wcześniej odpowiedział na podobne pytanie. Potaknąłem.

– A u Mojcy?

Potaknąłem. Potaknął. Każdy z nas zamówił jeszcze po jednym piwie. Dzień zaciągnął nad nami zasłonę mroku.

– Fajnie, że pozwalasz Pikiemu prowadzić swoje auto – powiedziałem.

Dodge lancer, rocznik 1962, przebieg 80 tysięcy km. 2,8 l, 164 konie mechaniczne, automatyczna skrzynia biegów, czterodrzwiowy. Najbardziej nielogiczne, zwariowane auto dla Słoweńca. Idealne dla Jana. Kupił je od razu, kiedy wrócił z Berlina. Obchodził się z nim czule, dopóki nie przyszła zima. A Piki patrzył na nie przez okno. To były rzeczy, o których już wiedziałem.

– Piki zaczął palić, jak ja – powiedział Jan. O tym nie wiedziałem. Jan wypił trochę piwa i kontynuował – Wszystko robił tak jak ja. Wszystko. Jak mnie to denerwowało. Zjawiłem się z powrotem, bo musiałem, kapujesz? Inaczej się nie dało. Chciałem odejść, jeśli bym coś znalazł. Ale nie znalazłem. Tylko Pikiego znalazłem, który przykleił się do mnie jak guma do żucia. Bo do kogo by mógł? Do swojego pijanego starego? Do mojego ojca? Nie ma szans. Ale do mnie tak. Ha... do mnie. Całe życie uważałem, żeby nic do mnie nie przywarło. Patrzyłem na śnieżynki na kurtce i cieszyłem się, kiedy się topiły, kapujesz? A potem wracam do domu i... Objął mnie, kiedy przestałem się kłócić z ojcem. A jego zaczął kopać. Ugryzł go. I przybiłem z nim piątkę. Nauczyłem go skręcać tytoń. Ustrzeliliśmy ptaka z wiatrówki. Raz usłyszał, jak mówiłem ojcu, że go wykończę. Zaśmiał się. Tamtego wieczoru pierwszy raz dałem mu do prowadzenia swoje auto.

– Którego wieczoru? – zapytałem. Milczał.

– Janie, którego wieczoru? – spróbowałem jeszcze raz, ostrożnie.

Jan się uśmiechnął. Przyjaźnie, czule, tak jak do wspomnienia, o którym wiesz, że czeka na ciebie w domu całe i zdrowe, i że odwzajemni twój uśmiech.

Potem wstał i wyszedł.

Za parę dni szedłem ze sklepu i w oddali zobaczyłem Petrę i ojca Jana. Trzymali się pod rękę. Cieszyłem się, że z ojcem lepiej.

Kiedy się zbliżyli, zobaczyłem, że to nie jego ojciec.

– Cześć – przywitał się Jan, Petra uśmiechnęła się. Szli dalej szybszym krokiem.

Mojca zaczęła mnie obserwować, jak gdybym był niezwykłym zwierzęciem, które przybłąkało się do naszego domu.

Jeśli siedziałem w kuchni, ona siedziała w salonie i obserwowała mnie. Kiedy wchodziłem do salonu, wychodziła do kuchni i obserwowała mnie stamtąd. W łóżku czułem jej spojrzenie na swoim karku. Zostało na nim do rana a nawet dłużej, kiedy znów bez powodzenia próbowałem zasnąć. Było w postaci materii, właściwej tylko ludziom.

Życie w rodzinie Jana wróciło na ustalone tory i naprawdę nie chciałem, żeby było inaczej. Ale po prostu musiałem to zrobić. Może nie zrobiłbym tego, gdybym na spacerze nie zobaczył zwłok ptaka, które pod skrzydłem miały wetknięty kwiat.

Petrę złapałem, kiedy wracała z pracy. Jana jeszcze nie było. Piki już wszedł do domu z dużym tornistrem, z którym ledwo przecisnął się przez drzwi.

– Petro... – zacząłem. Spojrzała na mnie. Wydawała się młodsza niż kilka miesięcy temu.

– Co znaleźli w kieszeni koszuli ojca Jana? – zapytałem.

Petra zatrzymała się na granicy światów – między tu i teraz a tam, gdzie była parę miesięcy temu, kiedy napełniała popielniczkę i wysypywała pomarańcze na parking przed sklepem. Dwie kobiety walczyły w jej wyrazie twarzy i wiedziałem, że nie powinienem o to pytać. Ale zrobiłem to.

Odszedłem bez odpowiedzi. Dopóki ją widziałem, nie szła do domu, tylko stała tam. Obie tam stały.

Tamtej noc widziałem przez okno zjawę.

Zbudziłem się z upiornych snów z wyschniętym gardłem i poszedłem po wodę. Mojca zostawiła zasłony w oknie salonu odsłonięte. Zjawa stała w ciemności, ale była jaśniejsza od ciemności, dlatego ją widziałem.

Albo ciemniejsza. Nie wiem.

Petra odwiedziła mnie po tygodniu. Kiedy otworzyłem drzwi, Mojca właśnie gotowała obiad.

– Wejdiesz? – zapytałem.

– Skąd wiedziałeś? – spytała bez przywitania. Nie wiedziałem, która z kobiet przede mną stoi.

Nawet nie śmiałem się poruszyć.

– Skąd wiedziałeś, że miał kwiat w kieszeni?

Teraz to ja byłem tym, który zostawił ją bez odpowiedzi. Patrzyłem za nią, dopóki nie zniknęła w dole.

Moja mama i tata zostawili w domu skorupy. Te skorupy otrzymaliśmy Mojca i ja.

Ostatnie lata małżeństwa moich rodziców wspominam jako szachy, nielogiczne, ciche, zmysłowe szachy dwóch figur w wiecznym szach-macie, gdy cały dom stał się szachownicą. Poruszali się z jednego pomieszczenia do drugiego i czegoś szukali jeden w drugim, muskali spojrzeniami, muskali ciszą, czasami robili się głośni, ale słowa były zbyt demonstracyjne. To właśnie cisza mówiła więcej. Ostatnią fazą był moment, kiedy ojciec patrzył przez okno. Całe dni, całe noce, tylko stał tam i patrzył. Kiedy opuścili dom i poszli w świat każdy swoją drogą, obiecałem sobie podobne rzeczy, które obiecywał sobie Jan.

Nigdy tak nie będzie. Nigdy. Ja będę inny. A potem powoli wlałem w skorupę. I Mojca także. I z lasu zaczęły przychodzić zjawy.

Tłumaczę sobie, że Piki walnęła ojca Jana, ponieważ ten chciał po jakiejś bardzo paskudnej kłótni zniszczyć jego auto. Gdyby Jan go walnął, zabiłby go. A w ten sposób Piki swoją drobną ręką zamienił go w swojego rówieśnika. W siebie. Roszada. Role się odwróciły. Jan, prototyp słoweńskiego buntownika, powoli wlał w ciasne, zbyt ciasne buty swojego ojca. Tego nigdy się nie dowiem i nie będę pytał. Nigdy więcej nie otworzę drzwi dodge'a lancera i roku jego pierwszej rejestracji też nie będę już więcej przytaczał, żeby powoli go zapomnieć. Dodge lancer był skorupą, kiedy kupił go Jan. Do wnętrza włożył siebie. To był początek jego końca, mimo że myślał, że to początek jego buntu. A może był to początek czegoś nowego. Jan nie wydawał mi się zbyt nieszczęśliwy. A może nie był już dawnym Janem, ale człowiekiem z dzieckiem i bratem oraz kobietą, o którą się troszczył. Takim, jakim, w dobrych i złych chwilach, był także jego ojciec.

Tylko trochę zamienili się rolami. Ale kobiecie zostało dziecko, opiekun i jej miłość. Jeśli w rękach trzymała pomarańcze, patrzyła na nie inaczej niż wtedy, kiedy ich nie miała. Ale wszystko jedno. Nic się nie zmieniło.

Coś się jednak zmieniło. Jan sprzedał dodge'a lancera. Tego samego dnia powiedziałem Mojcy, że nie chcę z nią już być, i wyrzuciłem ją z domu.

Płakała. Buntowała się. Powiedziała mi wszystko. Już się z nim nie widuje, powiedziała. Nigdy między nimi nic nie było... ale dlaczego nic nie powiedziałem? Dlaczego? Dlaczego nie dam jej jeszcze jednej szansy? Dlaczego nie mielibyśmy się pobrać? Dlaczego nie mielibyśmy mieć dziecka? Odeszła dopiero, kiedy od histerycznego wrzasku załamał jej się głos. Patrzyłem na nią, jak wsiada do auta i odjeżdża. Jechała tak, jak Piki w tamtym dodge'u lancera – czerwone światła stopu zapalały się... i gasły... zapalały... i gasły.

Tamtej nocy kiedy odeszła, śniłem, że jestem w lesie. Było ciemno, a mimo to wszystko widziałem. Poruszałem się jak po torach, ale podobało mi się. Unosiłem się.

I kiedy przyszedłem na skraj lasu, nie odważyłem się iść dalej. W oknie domu, tego ostatniego domu na naszej ulicy, stała zjawą i wpatrywała się we mnie.